

Wieczory Rodzinne

Nr 12

DZIAŁ DLA DZIECI

21 marca 1914 roku.

Bawełna, jedwab, ubranie.

Edzio przyciął sobie palce między drzwiami. Jego starsza siostrzyczka przybiegła, prędko owinęła mu palce watą, obwiązała watę nitką błękitnego jedwabiu od swej roboty i powiedziała:

— Usiądź teraz grzecznie na krzeselku koło mnie, jeśli chcesz, dam ci do przeglądania książkę z obrazkami.

— Nie lubię przeglądać obrazków, — odrzekł Edzio, — opowiedz mi lepiej jaką historję. Powiedz mi, skąd się bierze wata?

Edzio był dzielnym chłopcem, nie płakał, ani się skarżył, choć przycięte palce bardzo go bolały. To też siostra nie kazała się długo prosić i tak mówić zaczęła:

Ładny srebrzysto-biały lub brudno-żółtawy puch zwany watą porasta ziarno rośliny, która nazywa się bawełną. Jest to krzew rosnący wyłącznie w klimacie gorącym, w Ameryce na przykład lub w Azji. Kwiaty jego białe albo czerwone podobne są do kwiatów malwy i ślazu. Ziarna jego, wielkości drobnego grochu, znajdują się w torebce, która pęka, gdy tylko dojrzeje, a wtedy wata wysuwa się przez wszystkie szczeliny,

Żeby z niej zrobić nici, a potem tkaninę, zbierają owoce i wrzucają je do maszyny, która oczyszcza włókna od ziaren i łupin. Następnie włókna przędą i robią z nich nitki, a z tych



Gałązka bawełny.

perkale, barchany i t. p. materiały. Bawełna cieplejsza jest od lnu, materje bawełniane utrzymują w nas ciepło, prawie tak jak wełniane, a przytem są cienkie, lekkie i niedrogie.

— A więc wełna pochodzi od zwierzęcia — od owcy, a bawełna od rośliny, — powtórzył Edzio, a starsza siostra spytała go:

— Czy przypominasz sobie nazwę tej rośliny?

— O! tak, to jest krzak bawełny, nieprawdaż? Więc wata, którąś mi palce obwinęła, jest to puch ziarnka bawełny? Nie myślałam, że watę i bawełnę daje nam ta sama roślina — ja nawet nie wiedziałam, skąd się one biorą,

— Cieszę się, że moje opowiadanie nauczyło cię czegoś — czy chcesz, żebym ci opowiedziała historję błękitnej nitki jedwabiu, którą obwijałam ci palce?

— O tak, opowiedz mi ją: — zawołał Edzio ucieszony.

— A więc, ten ładny jedwab pochodzi... zgadnij, od rośliny czy od zwierzęcia?

— Od rośliny: — odparł chłopczyk bez namysłu.

d. n.

Jurek zwycięzcą.

Jurek był z natury grzecznym i dobrym chłopcem, posiadał tylko jedną niemiłą wadę, lubił wciąż się chwalić.

— Jestem zwycięzcą! — mówił z tryumfem po powrocie ze szkoły, popierając ów wykrzyknik opowiadaniem często przesadnem o swej przewadze w bójce z kolegami.

— Mój Jurku — odpowiadała na to mama — wolałabym, abyś przede wszystkim odniósł zwycięstwo celującymi stopniami w szkole i uprzejmością dla starszych i kolegów.

Jurek wówczas milczał słuchając słów mamy, czekając zręczności wyslizgnięcia się ukradkiem z pokoju, bo w kuchni przed służbą również pragnął się czemkolwiek pochwa-

lic. Pewnego dnia około wieczora, Jurek odczuł silny głód i zaczął niecierpliwie oglądać się rychło li służąca nakryje stół do herbaty.

Tymczasem godziny mijały, a o herbacie, ani było sły-
chać. Jurek zdziwiony tem mocno spytał mamę o przyczynę
opóźnienia.

— Służąca wyszła za interesem, — brzmiała lakoniczna
odpowiedź.

— Chce mi się tak bardzo jeść, co tu zrobić? pytał —
niespokojnie Jurek.

— Dobrze — rzekła mama — masz tu pieniądze, zejdź
na dół nie zwlekając, przynieś bułek wędliny.

Jurek zawahał się.

— Czyż marychna nie może to uczynić — ona jako dzie-
wczynka, powinna umieć załatwiać sprawunki domowe —
rzekł.

— Nie, odparła mama — Marychna jest jeszcze za na to
mała — nie mogę więc zezwolić.

Jurek w coraz większym był ambarasie, walczył z głó-
dem i fałszywą ambicją, która mu nie dozwalała wyręczyć
nieobecną służącą. Mama wyszła z pokoju, pozostawiając go
pogrążonego w rozmyślaniach głębokich, wynikiem ich była
następująca okoliczność, że Jurek rozejrzał się w różne stro-
ny, wziął pieniądze leżące na stole i ubrany w paltocik
i czapkę wysunął się na ulicę.

Deszcz padał drobnutki pokrywając warstwą wilgoci
i oślizgłego błota chodniki, Jurek szedł wolno potykając się
co chwila, nieprzyzwyczajony do chodzenia wieczorem,
przechodnie idąc śpiesznie potracali go często, wszystko to
jednak zmuszało go do orjentowania się w danym kierunku
i kupno wędliny i bułek zostało należycie załatwione. Jurek
zadowolony z siebie wrócił do domu, doręczając mamie spra-
wunki.

— Widzi mamusia -- rzekł do niej — jestem zwycięzcą, bom zwyciężył w sobie lenistwo.

— Mnie się zdaje — odparła zagadnięta — że to właściwie głód zwyciężył głównie, inaczejbyś może z domu nie wyszedł.

Zmieszał się Jurek i przestał się chwalić, dopiero któregoś dnia przyszedł do niego koleżka szkolny, Leos, słyszący z tępego umysłu, przez co nauki nieszczęśliwie mu szły.

— Mój złoty — prosił Jurka — pomóż mi napisać wypracowanie i rozwiązać zadanie arytmetyczne, boś przecie odemnie znacznie zdolniejszy.

Jurek zachwycony, że może znów czemś się pochwalić, wziął się chętnie do dzieła, obiecał nawet Leosiowi codziennie mu pomagać w nauce. Odtąd chłopcy wspólnie odrabiali lekcje zyskując przez swą gorliwość, coraz lepsze stopnie w szkole. Mama Jurka widząc postępowanie swego synka zawołała go do siebie, mówiąc:

— Jak uważam, zrozumiałeś wreszcie w czym jest prawdziwe zwycięstwo, Nie w pysznych przechwałkach, ani z musowej inicjatywy, lecz w pracowaniu nad sobą, czem zdobędziesz naukę i poważanie u ludzi.

Jurek podskoczył radośnie do góry i już miał wykrzyknąć „jestem zwycięzcą“, lecz przypomniał sobie słowa mamy i rzekł do niej:

— Nie będę się jeź więcej chwalił, bo to brzydko, lepiej niech same mówią za siebie.

I dotrzymał słowa ucząc się dobrze, a będąc skromnym we wszelkich postępkach, zyskał uznanie przełożonych i kolegów.

Marja Romualda.



S k a r g i.

— Janek źle się sprawuje:
Popchnął mnie dziś rano —

— A Stefanka niegrzeczność

Już jest wszystkim znana.

Tak mię w nogę udeptał,

Że mnie bardzo boli.

— Niechający...

— Hm! niechający...

Nie, nie, ze swawoli.

— A kto dziś hałasował,

Przypomnij no sobie?

Ja tego nigdy w domu

I w szkole nie robię.

— Ty się znów nieustannie

Sprzeczasz się z kolegami,
Nie lubią cię, wiedz o tem,
Mówili mi sami.

— E! co ty opowiadasz...

— Tak jest!...

— Ale... ale...

— Słyszysz mama?

— Ach! dzieci!

Nie chcę słuchać wcale.

Toć złe serce przebija

W każdym waszem słowie,

Nie skarżą tak na siebie

Dobrzy braciszkwowie.

H. B.

Biały kotek.

BAJECZKA.

II

(Dokończenie).

W krótkim czasie zmienili się właściciele pałacu, wraz z nimi, zmieniło się i życie Filusia.

Nowy pospodarz, zamiłowany w polowaniu, otoczył się sforą psów, a kota odesłał na folwark, bez względu na to, że był ulubieńcem poprzedników.

Filus, pozbawiony wygod do jakich nawykł, staczać musiał ciągłą z psami walkę i choć pilnie strzeżony przez gospodynię, wymykał się jak mógł z domu, szukając gdzieś dziej tego, co utracił.

W jednej z takich wędrówek, doszedł aż do sąsiedniej wioski, a nie mogąc trafić stamtąd do domu, wałęsał się po polach i ogrodach.

Nie spotkawszy nikogo, ktoby go otoczył opieką i dał ja-

kiekolwiek pożywienie, sam polował na myszy, na młode zajączki i z gniazd wybierał ptaszęta.

Dopóki było ciepło jak mógł dawał sobie radę ale jego powierzchowność ucierpiała na tem bardzo. Sierść jego, nie miała już tego co dawniej połysku, czerwoną wstążeczkę stracił w zajadłej bitwie z dworskimi psami.

Z nadejściem zimy, pozbawiony ciepłego kąta i jedzenia, wypędzany z chaty do chaty, dostał się znowu do tej samej wsi, w której w pałacu wiódł niegdyś rozkoszne życie.

Zziębnięty, wyczerpany z zimna i głodu, nie mogąc iść dalej, zebrał miauczeniem ludzkiej litości.

Nad wieczorem tegoż dnia, szary, znany nam już kotek, powracał z dziennej wyprawy.

Zdaleka spostrzeża coś siedzącego na śniegu. Przybliża się widzi brudnego, białego kota, wydającego słabe jęki.

W tym wynędzniałym kocie, zaledwie mógł poznać owego pysznego Filusia, który kiedyś z dumą, pogardził jego towarzystwem.

Obecnie, zmieniły się ich role.

I choć twierdzą zwykle, że kot to fałszywe i mściwe stworzenie, jednak w tym wypadku, dał dowód, wielkiej szlachetności i miłosiernego serca. Otóż dobry, szary kocina, litośnie spogląda na chorego biedaka, mruczy, obchodzi go naokoło, jakby go chciał podnieść i obmyśla sposób ratunku. Zamiast oddać Filusowi wet za wet, z pogardą spojrzeć na biedaka i zostawić go na pastwę ubóstwa i głodu, siada obok niego i zaczyna przeraźliwie piszczeć, dopóty, dopóki nie obudził czujności swojej gospodyni.

Zaniepokojona głosem swego ulubieńca, wyrzała z chaty a widząc go całym i zdrowym, domyślała się, że inna jest jego miauczenia przyczyna.

I rzeczywiście, dostrzegła obok niego, jakiegoś brudnego, wynędzniałego, drżącego z zimna kota.

Podniosła go z ziemi, przytuliła do siebie i zaniósła do

cieplej izby, gdzie przy rozpalonym na kominie ogniu, gotowała mężowi kolację. Odląła jej trochę i nakarmiła biednego kota.

Filusz spotkawszy się po tak długiej przerwie, z ciepłem i posilnem pożywieniem, spożył je chciwie, spoglądając na swą dobrodziejkę wdzięcznym okiem.

Po kilku dniach, odzyskał siły i humor. A zawdzięczał to szaremu kotkowi, który zapomniał doznanej obelgi i ocalił swemu nieprzyjacielowi życie.

I odtąd żyli razem, w zgodzie, pod jednym dachem.

Wiesławek.

Opowiadanie z dawnych czasów.

e. d.

W uszach za to, jak rozkoszna muzyką dźwięczały dołatujące zewsząd okrzyki:

— Witaj królowo, witaj pani nasza, nadziejo Polski — witaj i bądź błogosławiona.

Z błogiej zadumy zbudziło go silne szarpnięcie i głos Bożyma:

— Złaz z drzewa, co żywo, podejdzim ku miastu, to może jeszcze co zobaczymy.

Chłopak poruszył się, ale członków nie mógł rozprostować.

— A cóżeś to taki niemrawa? coci się stało?

— Zdrętwiały mi ręce od długiego trzymania się gałęzi, ale to nic.

— No, ja myślę, że nic; największe trudy poniosłoby się chętnie, byle tylko zobaczyć to, cośmy przed chwilą widzieli.

Popatrzył na rozpromienioną twarz Wiesławka i dodał z dumą:

— Do końca życia zapamiętasz sobie, w starości jeszcze dzieciom i wnukom będziesz opowiadał, jak to w Krakowie królowę Jadwigę witano.

Nie na tem się jeszcze miały skończyć wrażenia tego dnia wielkiego, czego się bowiem w mieście napatrzył Wiesławek, tegoby ani spamiętać, ani opowiedzieć nie potrafił. W pośród tłumów strojnego, rozbawionego ludu, co zalegał rynek i ulice, ileż to było różnych niedźwiedziarzy, błaznów, linoskoków, pajaców, naśladowców śpiewu różnych ptaków i kuglarzy. Jeden od drugiego śmieszniejszy i dziwniejszy, że i niewiadomo było, komu się pierwej przyglądać. Co tam sztuk karkołomnych, wprawiających w zdumienie, co wesołych żartów, muzyki na fletach, cytrach, piszczałkach, trąbach i cymbałach; co śpiewaków różnej mowy i obyczaju!

Bawił się i weselił Kraków prawie noc całą, zgiełk i wrzawa na chwilę nie ustawały. Najciszej było na zamku królewskim, gdzie młodziutka władczyni, zdala od matki i krewnych do nowego się życia gotowała.

Późno już było, kiedy Bożym zwrócił uwagę swego małego towarzysza, że czas im wracać do domu. Z żalem opuszczał Wiesławek miejsce tylu zabaw i uciechy, ale trudno, stary kazał, sprzeciwić się nie wolno było, postępował więc za nim w milczeniu. Gdy z oświetlonych rzeźbiście ulic wyszli na pole, ciemność ich taka ogarnęła, że musieli się dobrze pilnować, aby nie zmylić drogi. Bożym szedł naprzód jako przewodnik, Wiesławek w ślad za nim podążał, teraz dopiero ogromne odczuwając zmęczenie.

A i tu pilnować się należało, snuli się bowiem po drodze piesi i konni i już parę razy mało na nich nie najechali.

— Na bok! z drogi! kto żyw, niech ucieka, — rozległo się naraz poza nimi wołanie.

— Uciekaj, — krzyknął Bożym, sam w bok się rzucając, z awanturnikami rady niema.